

KONSTELACJE

ARKADIUSZ PAWEŁ CHMIELEWSKI

Narodziny

moje ciało odpływa kruchy statek w noc
tylko oczy iskrzą się gorączki gwiazd
i ciała naczynie wypełnia tęsknota gęsta
cieplej ciszy koc otula niepewność

dotknij mnie i uczyn prawdą mój ból
i uczyn prawdą to że chcę być najbliżej
pozwól mi poznać twój oddech śmielej
całuj moje łzy moją niewinność wyjdzie
z niechcianych ról i przytulenie prawdę
pisaną krzykiem dotykiem palców po skórze

kochaj mnie by na nowo
jeszcze raz przyszło na świat dobro
jeszcze raz mógł odrodzić się czas
zasypiamy maleńcy
w pocie skupieniu i drzeniu
locie snów dziecinnie dorośli w milczeniu

Pokochajcie śmierć we mnie

pokochajcie śmierć we mnie

to że jestem na chwilę

niech ta chwila będzie śmiechem

szczodrością otwartych ramion

cichą prośbą o przytulne

pokochajcie śmierć we mnie

jak złamane promienie cieni

moje palce spragnione bliskości

piszące imiona najbliższych na skórze

by nie zapomnieć by nie przemilczeć

bicia serca i w spojrzeniu czulej uważności

pokochajcie śmierć we mnie

to czyni mnie pięknym i ulotnym

to czyni życie pełnym

nie płaczcie gdy wyjdę nocą

ścigać gwiazdy jak szklane motyle

ta cisza była naszym śmiechem

ta cisza była naszym śpiewem

pokochajcie śmierć we mnie

całego od słodczy uśmiechu

aż po gorycz łzy pamiętajcie

idźcie kochajcie aby żyć

Konstelacje

chciałbym wziąć drugą dłoń

i przyłożyć do drżącej

kałuży piersi mojej

z zatoniętym sercem

i pokochać się jak wargi

chwytające cząstki czułości w pół oddechu

i jak gęsia skórka biegnąca od ciebie do mnie

przez konstelacje pieprzyków

na cienkiej mapie pleców

chcę dotknąć kruchych motyli

w smukłym jak kropla

dzbanie brzucha i w ciszy

drzeniu napić się sensu i piękna

w ciemności pokoju

w zapomnieniu o złym śnie dziecka

chciałbym spleść jak do modlitwy

dwie ukochane dłonie inne sobie

wtedy uwierzę

przyjdzie nowe w krzyku

i nie ucieknę

stanę się miłością

Brak

to przez wasz brak
marzę o byciu przytulonym
przez prostytutkę ciało do ciała
i serce do serca tylko płacąc
za bycie "kochanym"
czuję że nie muszę zasłużyć

to przez wasz brak
tęsknię bez imienia i bez twarzy
bez oczu dziecka do utulenia
w sobie będąc zawsze synem
nigdy ojcem

to przez wasz brak
podniecony spragniony wściekły
idę przez obcy świat języka uczuć
kaleczę swoją bezradną mowę
tworząc przyjaźń w lęku
odrzucony w każdym kocham Cię
podniesiony w wyciągniętej naiwnie
i szczerze ku drugiemu dłoni

to przez wasz brak

jestem chociaż nie chcę

piękne jest moje jestem

i kocham moje jestem

zranione kruche i głodne

spojrzenie jak cały świat

Rozmowa z Ojcem

po drugiej stronie telefonu
po drugiej stronie mojego nie
za zaciśniętym gardłem
podniesioną gardą sarkazmu

znajdź mnie małego chłopca
który łowił z tobą ryby
śpiewał do zdarcia gardła
chciałby przytulić się znowu

znajdź mnie po drugiej stronie
bezsennej nocy kiedy
wrywam z pod powiek łzy
ostre jak okruch szkła

znajdź mnie zanim zapomnę
zanim zatrze się w nas słowo
życia i czas na to by kochać

powiedz mi Tato
że to wszystko między nami
naprawdę znów mogę
wierzyć jak dziecko

Rozmowa z ojcem II

przytul mnie mocno

tam gdzie wstydę się najbardziej

zobacz we mnie porzucone piękno

tam gdzie kończy się mój krzyk

jak bajka czytana na dobranoc dziecku

przytul mnie mocno

nie pytaj czy jestem dobry

jeżeli musisz zapytać

nie znasz drogi przez moje sny

tęsknoty za dotykiem zatonięciem

zakochaniem w drugim

przytul mnie mocno

choć wiem że nie potrafisz

powiedz że mnie kochasz

twoje słowa gorzkie jak piołun

spłyną przez każdą rysę łzy

na mojej twarzy

Serce

głupie serce przestań drżeć
kiedy mijam nową parę oczu
wiesz że nie chcę już czekać
na dłonie które napiszą we mnie
nowe imię i życie dziecka

głupie serce przestań drżeć
marzę o dwóch czułych ramionach
aby zamknęły mnie w sobie
jak nawias równania i usunęły niewiadomą
lęku z mojego ciała

głupie serce przestań drżeć
szukając bliskości w jednym przytuleniu
szukając czułości w przelotnym pocałunku
podanych rąk między słowami w milczeniu

głupie serce przestań drżeć
gdy niosę Cię w samotnej piersi
wyrwę Cię i będę tulić w kołysce moich dłoni
abyś choć raz czuło się kochane
abyś choć raz nie było samo nocą
stanę się tęsknotą.

Babcia

spotykamy się chociaż nie wiem po co
martwa przeszłość z martwą przyszłością
tulą się do siebie dwa kruche naczynia ciała

wyprane koszule i pościel znaki czułości
jak gdybym mógł być dzieckiem
jak gdyby wspólnie pieczona
szarlotka mogła osłodzić cały ból
być czymś więcej niż naszym wspólnym snem

krucha rozmowa pełna ostrych krawędzi
stąpanie po szklanych kościach butelki wódki
pytasz dlaczego nie chcę już nic zmieniać
tak bardzo chciałbym móc cię kochać
tak bardzo chciałbym zatłuc cię na śmierć

nie wiesz że gdy zasypiam
życie klei się do mnie jak brud
tulę w ramionach zwiniętą poduszkę
tak bardzo chcę żeby to było czyjeś objęcie
które mnie pokocha każdego dnia i nocą

jestem sam w ciasnym grobie pokoju

z puszką taniego piwa na biurku

jedynym ciepłem w sercu

wtedy niesforna łza

iskrzy się jak gwiazda

Improwizacja (miasto nocą)

jestem dzieckiem tej nocy niedopowiedzeniem
samotny napojony zimnym prawdy deszczem
z czterodniowym głodem w sobie jak ptak
żywię się z ulicznych drzew obcym życiem
dziś oddychamy tym samym chaosu powietrzem
co porywa liście dotknięte zapomnieniem

jestem cieniem zagubionym dowodem
na światła istnienie mijam zakochaną parę
czując ich drżenie tak ze wstydu ucieka moje
smutne spojrzenie w myśli i ciała podniecenie
wspólne śnienie w miłości byłoby zbawieniem

zapominam ulice i fontanny kałuż
tak otulam się w zwiewny nocy całun
gubię kolejność kieliszków i dni
śmiechów i podanych dłoni
w płaczu wisząc na linie
z dymu papierosa poznany przez każdego
zapamiętany przez nikogo
znów stopniało w sercu zaufania konto

tulę w sobie drżenie w objęciach
pluszowego misia ścigając przemienienie
zagubiony w fałszywych uśmiechach
biegnę za pozostałą częścią siebie
dzielny zbyt długo dorosły zbyt szybko
nie ma już mojego lata i miejsc i ludzi
miłości bez ciała bez imienia bez sensu
bezwiedne nie nauczone przez nikogo

nocą płynie nas czterech jeden jest żalem
drugi seksem trzeci zapomnieniem czwarty
miał być miłości dzieckiem teraz krzyczy pijany
wiem że człowieka robi się tak jak zwierzę
już w zaklęcia czułych dłoni więcej nie uwierzy
nocą płynie nas czterech i tylko stukot butów
na bruku jest jak ślad bliskości z drugim

Nie odnajdę się w niebie

Boże nie odnajdę się w niebie
imię miłości zaciera się
nie potrafię zrozumieć cierpienia
i czuję żal kiedy kochani są inni
a moje noce trwają we mnie
kiedy się przebudzę

Boże czy odnajdę Cię w drugim
moje słowa muszą ciąć jak noże
tak jest bezpiecznie jestem
samotny w brutalnym języku
w cynizmie i dystansie bo boję się miłości
bo boję się że znowu będzie bolało Tato
noszę na twarzy bliznę gorzkiego
drwiącego uśmiechu

Boże chcę odnaleźć Cię w sobie
dla moich rodziców jestem gównem
jestem na Twoje podobieństwo
proszę przyjdź i przytul mnie

może zobaczysz we mnie piękno

w spragnionym pieszczoty ciele

spękanych ustach

częstce Ciebie zamkniętej

w złamanym spojrzeniu dziecka

tak bardzo chcę Cię kochać Tato

i nie potrafię nie potrafię...

Małe apokalipsy

mijam obiecane przyszłości
bezdolny na ulicy życia i karmi mnie
jedno przypadkowe spotkanie
objęcie i zapach obecności
przenikający ciemność chwili

brudny od nieprzespanych nocy
z ustami pokąsanymi od niemej modlitwy
uśmiecham się będąc nie utulonym przypadkiem
olśnionym pięknem drugiego kawałkiem mięsa

zjadamy siebie nawzajem
wstydem przed lustrem
milczeniem pomiędzy słowami których nie było
bo nie wypadało i łatwiej
piło się piwo i kieliszek wódki
niż przytulało płakało i przepraszało

tak uwierzyłem że miłość jest
tylko nie dla mnie
że miłość jest i to wystarczy
niech zgasną oczy
tak spełnił się koniec mojego świata
za chwilę spadną
wszystkie gwiazdy

Uzależniam się

wygodny dyskomfort

gdy uzależniam się od rozpacz

moje ciało obłąkane przez sny

nie jestem w stanie unieść siebie

nie jestem w stanie

dni pędzą nade mną jak iskrzący kołowrót

ja coraz bardziej zrosnięty z ciszą

staję się pustką pokoju i klątwą powrotów

do dni dziecka któremu na imię było cisza

próbuję przytulić samego siebie

wodzę palcami po włosach chcąc

odtworzyć rytuał czułości i dotknąć

niewinność zwiniętą jak jeź w kulkę

jak mam kochać siebie i się nie ranić

ucalować samotność

w szaleństwo myśli wpleść

uwaga obecność

tutaj zaczynam się i kończę

w tej chwili

i nie będzie nowego imienia
pieczęci pocałunku na czole dziecka
nie będzie więcej baśni
czytanych na dobranoc
rysunków na lodówce
śladów roweru
w piaszczystym pyle drogi

tutaj zaczynam się i kończę
chcę pamiętać że zakończenia
są równie cenne co początki
na krawędziach słów jak cząstki
kurzu przetrwam poniesie
mnie inne serce w marzenia

Kościoły rzeczne

kościół rzeczne

kobierce zanurzone

w smug fale szmaragdowe

drgające na wietrze wstęgi

zatoniętych traw

niosą łódź pielgrzymią

przed trzcinowe wyspy

stoją trawiaste ołtarze

w rozlewisku wód

nad brzegiem suche łodygi

kołyszą się kruche

jak dusza

szumią jak szepty

deszcz nas chrzci z góry

kropidłem wiatru

gasi umęczone twarze

pchając do brzegu

na nowo połączony

z Ziemią zabieram ze sobą

wyszczerbioną muszlę

nową komunię

Młody Prometeusz

najtrudniej jest powiedzieć
że było warto
wojnę sobie wypowiedzieć
sprzeciwić się swojej naturze i nicości
z tego świata
okiełznać ogień namiętności
co każdego kiedyś spala

przypadła mi w rozliczeniu
z moim człowieczeństwem kara
bolesne rozdwojenie
na potrzebę brania i dawania
znów głowę podpalam
lepiąc z popiołu myśli
nowego siebie stwarzam

błogosławione słowa
którymi będziesz władać
wypowiadając lęk rozpacz i miłość
pamiętaj o mnie szarpanym namiętnością
nadzieją nigdy nie wypowiedzianą
młodym Prometeuszu
spalonym we własnym ogniu

Umami

żaden ze snów nie zmieści się
w zimnym kluczu odpowiedzi świata
zbyt wcześnie musimy wybierać skórę
cel i kształt ziemi pod którą zaśniemy

boimy się że nie poznamy siebie
przegapimy chwilę na słowo kocham
na śmiech radość i lekkość ducha
zamiast swojego losu wykujemy klatkę
ściga nas czas i obca przeszłość

pokolenie instant
wiemy że jesteśmy tylko chwilą
ulotną i mocną jak smak umami

Szczepionka

kruche sny w szklanej kropli
niech spłyną we mnie
po stalowym moście
w drzeniu sterylnej ciszy

mililitr po mililitrze
strach rozpułynie się
zobaczę jak rodzi się
we mnie czas

przejrzy się w nim nienazwany
kolor Twoich oczu
kształt i zapach obecności
uśmiech dziecka
moja radość i troska

wszczepiony na nowo w sens
spotkam wszystkie chwile
odkładane na wieczność
odmienię przez osoby
słowo miłość

Nasza młodość

przecież nie po to jest nasza młodość

żeby nas lizać niczym

ogień zimnem dni przeszłych

dni ponurych pękniętym echem

przecież nie po to jest nasza młodość

by pamiętać głuche krzyki

wyłupione oczy okien

ceglanym pyłem

skrwawione ulice

przecież nie po to jest nasza młodość

by zwinąć w plecak nieznany pocałunek

czułość dwóch stęsknionych ciał

nie narysowany dziecięcy rysunek

pierwszy krok i słowo

przecież nie po to jest nasza młodość

żebyśmy mieli uciekać

w niebo jak krucha

rysa dymu

pośród gradu gwiazd

i zimnych ziemi ran

pragnących ciepła ciał

przecież nie po to jest nasza młodość

gdy jedno nieznane życie

jest piękniejsze

niż martwa pamięć

Wagabunda

śpiew ptaków niewidomy znak

dla tych którzy śnią cisza

cisza jest gładka jak kamień

omyty przez marzenia

stoję pośrodku deszczu

wiem że noc jest śpiewem

drżeniem dźwięku pośród

pustki głuchego umysłu

noc jest krzykiem i gwarem

słońcem w bursztynowej

kropli piwa zimnej

jak wstęga wiatru

niepewny krok

zostawił mnie

w niemym zachwycie

rozkołysanym przez krótką chwilę

puste kieszenie

nie są ciężarem

Potrzeby

nie potrzebuję
przytulenia nocą
zapachu innego ciała
pijany oddech
dziki bieg
przez wieczorne światła

nie potrzebuję
gładkich kruchych dłoni
zanurzonych w moje serce
czujących jak drzę
podnosząc kieliszek
licząc że zapomnę

nie potrzebuję
miłości innej niż przyjaźń
śmieję się i krzyczę w barze
gotowy by odejść
zniecierpliwiony życiem
rozczarowany przyczyną
okrutnym skutkiem
tego że jestem

wracając nad ranem

w rytm pijanych myśli

odmawiam swoją modlitwę

wyliczając to czego nie potrzebuję

jestem tylko przetrwaniem

Tęsknota

tęsknię za Tobą
gdzie jesteś Ty który mówiłeś
że będziesz kochać mnie
zawsze milczysz kiedy mijam Cię

w spojrzeniu bezdomnego
spękanych zimnem dłoniach
ramionach pragnących przytulenia
i w ciszy która jest tak ciężka

powiedz coś do mnie bo
samotna jest dusza moja
patrzę w przestrzeń i szukam
Twojego odbicia
w symetrii liścia
kruchości kwiatu
biegu dni

obejmij mnie bo boję się zaufać
przygarnij mnie tak jak nie potrafi świat
powiedz mi że jesteś że już dobrze
kiedy płaczę w ciasnej duszącej nocy

tęsknię za miłością tak bardzo chcę
okruchów nadziei przechodzących w dreszcze
poczuć drżenie w sobie by moje serce
nie było pełnym dystansu zimnym grobem
powiedz jedno
słowo

Milczenie owiec

100 99 98
twarz mojej matki
oczy przekrwione od płaczu
95 94 94
ojciec krzyczy znowu

94 93
znowu będę sam
powiedziałem
tyle głupot
80 89 87
chciałbym się przytulić
86
kocham swoich przyjaciół

85
dlaczego nie mogę spać
ludzie mnie lubią/tolerują
ludzie mnie tolerują
nie ma miłości z litości
84
czy całowała mnie z litości

60 59
dlaczego się podniecam
tak bardzo chcę się przytulić
jestem brudny

58
wesołe miasteczko
czy mnie kochali
karuzela się kręci
40 39 38
nienawidzę samotności
37
siebie
jestem samotnością
jestem złością

34 33 32 31 30
stałem wczoraj na moście
za nisko było tak spokojnie
29 28 27 26
boże powiedz coś do mnie

10 9 8 7 6 5 4 3 2 1

dlaczego ciągle zapominam

ostatnia owca skacze

zasypiam

Polska

żyję w kraju za który nie wiem
czy chcę umierać
gdzie chleb powszedni
jest coraz bardziej gorzki do przełknięcia
gdy idziesz przez betonowe żyły miasta
planując zakupy z 5 zupek chińskich
i taniej mortadeli

choćby Bóg stanął przede mną
obiecując spełnić wszystkie moje sny
nie uwierzę bo tamci też przysięgali
lepszą przyszłość przede mną

żyję w kraju mniejszego zła
wielkich bohaterów śniących
w płytkich grobach i młodości
z kroplą alkoholu znakiem krzyża
na dziecięcym czole

żyję w kraju wielkich powstań
dzikich ran i pieśni bitewnych
zawistnych przekleństw
na wpół milczących wargach

żyję w kraju którego stare ciało
skrywa serce młode tak bardzo
spragnione przyszłości lepszej
niż dawne projekty snute przez
tych co przejdą pod nami w ciszy

żyję w kraju w którym
chcemy miłości rodziny
podanych rąk w znaku pokoju
i łamania ciepłego chleba
za swoje miejsce w świecie
w Polsce

Pozostali

przyjacielu wyjdź z cmentarnych cieni

niech muzyka przypomni

kształt ciała gdy dwa teatry

stają się jedną prawdą

co masz tam po drugiej stronie

poza łzami Madonny

o smaku soli i tequili

czy imię Boga na odchodzących

wargach przynosi pokój

stań z nami pozostałymi

obląkanymi światem

poruszanymi wiecznym

wahadłem losu i naucz nas

jak cieszyć się podróżą

w zniszczonych butach

do których dorastamy całe życie

Ojcostwo

kiedy oni przestaną Cię kochać

spojrzysz oczami dziecka

na starą swą twarz

nie będziesz płakać za młodością

której nie poznajesz

bo musisz teraz

troszczyć się sam

spłyną po suchych kataraktach łez

rodzinne obiady i urodzinowy tort

gorące lato z jeziora modrym okiem

śpiew kolędy zgaśnie w Tobie też

kiedy oni przestaną Cię kochać

spojrzysz na wszystkie

obietnice wstecz kredyt miłości

ślepo zaciągnięty miała spłacić

przymusowej troski niewolnicza śmierć

wykujesz w sobie nowe imię miłości

w butach ojca pójdziesz w ciemną noc

tak bardzo nierozsądnie pragnąć

utulić dziecko z Twoimi oczami

pełnymi nadziei że widzisz je

Macierzyństwo

cicha rozmowa między mną a tobą

nocą wszystko jest nieważne

gdy chcę kochać jak dziecko

wtulony w twoje ramiona

widzę z pod przymkniętych powiek

twoje uśmiechnięte oczy

tort z żelkami w kształcie malin

słyszę głos który czytał mi bajki każdej nocy

tak bardzo tęsknię za tą którą byłeś

zanim czas podeptał twoje serce

oduczono cię bycia blisko

wstawiono lęk w równanie miłości

teraz tylko spotykamy się przez sen

to co jest z tym co być mogło

próbujemy raz jeszcze

być rodzicem i dzieckiem

Nokturn

zaspane oczy zapatrzone
w jedną chwilę na styku dusznych dni
palce snu pieszczą poszarpane
cienie włosów

tonę w zagrożonym życiu
pocałunki żalu spadają
jak łzy o zapachu wieczornej ziemi
znacząc wszystkie ścieżki
z których muszę zawrócić

zażywam syntetyczną
radość i spokój zalecono mi
życie zamiast śmierci
nie powiedzieli
czy nie jest już za późno
żeby stać się sobą

Kałuże wieczności

przez popękane niebo w siwym warkoczu wody
spadają resztki wieczności w kropli srebrne sny
obmywają nagą ziemię ciszą

staję nad krawędzią
kałuży zwierciadła strzaskanych niebios
za moją skórą rośnie nieznany lęk
jak ciemność spadająca pierzastą chmurą

co jeśli zaraz wszystko by się skończyło
czy ulecę do nieba wraz z deszczem
a może zostanę jako słońca ciepło
padając na nie poznane ukochanej ciało
by w ciszy świetlistej je pieścić

na szarej ulicy stoję tak bardzo kruchy
srebrzyste kałuże są jak niepewne sny
czekają by ulecieć
dotknąć niebo

będę tęsknić za...

będę tęsknić za słońcem poranka
lizającym moją twarz i kruchością ciasta
za morzem muskającym stopy
górami ścigającymi wichry

będę tęsknić za kanapką na przerwie
kolejną lekcją polskiego
za tym jak szukałem jednego słowa
by nazwać miłość za śpiewem kolędy i choinką

będę tęsknić za pocałunkiem
gdy z części stawałem się całym
za przytulaniem kiedy niknąłem
w nowym znajomym drugim

będę tęsknić za przyjaźnią
szczerymi nocnymi rozmowami
słowami gaszącymi lęk
ciepłem podanych dłoni

będę tęsknić za życiem
przypadł mi przywilej wyboru zakończenia
za chwilę pomyślę przebudzenie ze snem
i wyjdę ze swojego cienia

Pocałunek

nasz pierwszy pocałunek

zakwitł na kartce

niedokończone życie

Rozmowa

szczere milczenie

trwa pomiędzy słowami

teraz rozumiem

Myśli

pod słowem miłość

chciałem jedynie odnaleźć

brak bólu żeby pamiętać

że słońce wschodzi tak samo

każdego dnia niezależnie od mojej rozpacz

będę pamiętać że rodzice kochają swoje dzieci

że przytulenie jest bezinteresowne i ciepłe

i przyjmę na wiarę że jest więcej dobra niż zła

i przyjmę na wiarę że każde kocham Cię

jest ważne jak sny małego chłopca

w każdej łzie i bólu zaciskającym gardło

jestem człowiekiem coraz bardziej i bardziej

w każdym dotyku którego po prostu zabrakło

jestem człowiekiem coraz bardziej bezradny

przerażony sobą i gniewem ktoś inny

dostał moje życie i moje ciepło

kocham Cię bracie jak lustrzane
odbicie siebie w Tobie wszystko to
co być mogło i co być może
i moje niezrozumienie cierpienia
i złamanie do modlitwy dłoni
ty masz w sobie
dość miłości by uwierzyć w Boga

zapamiętaj moje smutne oczy
śmiech jak wybuch kwiatów wiosną
ręce spragnione bliskości jedną krótszą
i zabierz mnie
w swoim sercu do nieba



Arkadiusz Paweł Chmielewski (1999r.) Poeta, Magister Prawa KUL(2024). Talent Roku 2017 XX Ogólnopolskiego przeglądu poezji Jesienne debiuty poetyckie. Stypendysta Prezydenta Miasta Lublin za działalność artystyczną (2018) Stypendysta Prezydenta Miasta Lublin za realizację projektu **Literacki Wehikuł Czasu** propagującego poezję polską (2025) Kandydat do **Związku Literatów Polskich**(2024) Członek radia Gab In Net (2024). Publikował w dwutygodniku literacko-artystycznym *Pisarze.pl* (nr 586). Prezentował swoje utwory w ramach XIII Nałęczowskich Spotkań z Poezją.